

Dziecko nie żyje, bo tak chciało...

Data publikacji: 11.03.2010 20:40

Pani Grażyna źle się czuła, wymiotowała, miała gorączkę, była senna, nie czuła ruchów dziecka udała się więc do lekarza, który nie potraktował tych dolegliwości poważnie, przepisał jedynie popularny lek rozkurczowy i zapewnił, że wszystko jest dobrze, ale dobrze nie było.

Ciąża dla pani Grażyny to był czas nadziei i radości, aż do momentu, gdy wszystko zmieniło się w dramat. Adaś urodził się w siódmym miesiącu - martwy. Dziecko nie żyło już jakiś czas przed porodem, jednak lekarz prowadzący ciążę nic nie zauważył. - **Na początku siódmego miesiąca ciąży zgłosiłam swojemu lekarzowi prowadzącemu, że źle się czuję i nie wyczuwam ruchów dziecka. Dowiedziałam się, że jestem przewrażliwiona, a dziecko się nie rusza, ponieważ jest duże i ma zbyt mało miejsca na energiczne ruchy. Brak tętna maluszka według pana doktora świadczył tylko o tym, że płód ułożony jest plecami do skóry mojego brzucha.** - opowiada pani Grażyna.

Ginekolog przepisał pacjentce receptę, na której widniał lek dostępny na każdej stacji benzynowej. Następna wizyta była wyznaczona na 8 stycznia, jednak z powodu złego stanu zdrowia, pani Grażyna sama zgłosiła się do szpitala. - **W szpitalu zrobiono mi usg, już wtedy po minach obecnych przy badaniu lekarzy wnioskowałam, że dzieje się coś złego i nie myliłam się. Wiadomość, że dziecko nie żyje spadła na mnie, jak grom z jasnego nieba. Byłam przerażona i mimo, iż lekarze komisyjnie to potwierdzili, ja tej myśli do siebie nie dopuszczałam. Wsiadłam do samochodu i pojechałam do domu. Dopiero po namowie rodziny zgłosiłam się do szpitala po kilku godzinach. Jeszcze wtedy myślałam, że wszyscy się mylą** - wspomina przez łzy pani Grażyna.

Kilka dni później miał odbyć się zaplanowany na godzinę czternastą pogrzeb dziecka. - **Tego samego dnia odebrałam telefon z patomorfologii. Ze względu na przedświąteczny okres i skrócone dyżury poproszono mnie o odebranie zwłok dziecka do godziny dwunastej, w innym przypadku miały zostać one spalone. Pozostało mi tylko pół godziny. Odebrałam trumienkę i z nią pojechałam po dziecko. To było, jak jeden wielki koszmar, ubrano mojego Adasia, wsadzono do trumny i postawiono, jak jakąś niepotrzebną rzecz na parapecie przy oknie. Do pogrzebu zostało jeszcze trochę czasu, więc nie zastanawiając się zabrałam trumnę z dzieckiem do domu. Pamiętam, jak bardzo bolała wtedy myśl, że będę go musiała pochować** - ze smutkiem wraca do tamtych wydarzeń pani Grażyna, która kilka dni po pogrzebie znalazła się w szpitalu zakaźnym z przypuszczeniem zatrucia ciążowego.

Pani Grażyna ma nadzieję, że jej historia uchroni przyszłe mamy przed podobnymi doświadczeniami. W tym przypadku nie pomogły sądy lekarskie, sprawy cywilne i karne, nie udało się również udowodnić błędu, bo nie było się do czego odnieść. Nie ma ustalonego standardu, jakie badania muszą być w ciąży wykonane i jak ta opieka powinna wyglądać. Standard ustalają lekarze. Karta ciąży pani Grażyny była prawie pusta, nie licząc jednego tylko badania, chociaż powinna mieć ich znacznie więcej, tym bardziej, że choruje na nadciśnienie. Pacjentce nie wykonano nawet USG, bo lekarz twierdził, że nie ma takiej potrzeby. Doszło do tragedii, a ona usłyszała "dziecko zmarło, bo chciało". - **Mój drugi syn czasami pyta mnie, dlaczego Adaś nie żyje? A ja nie potrafię mu na to pytanie odpowiedzieć** - przyznaje ze smutkiem pani Grażyna.

Sprawa budzi wiele kontrowersji i pytań na które dzisiaj trudno już uzyskać odpowiedź. Pomimo, że historia wydarzył się już jakiś czas temu, przesłanie nadal jest aktualne.

(bsk)